

Anita Magowska

Pamiętnik Adama Wrzoska (1875-1965)

Acta Medicorum Polonorum 5/1, 99-110

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

czenia wojennego i nakazano spłatę. Wybronił się z tego z trudem, okazując pokwitowania bankowe poświadczające spłatę kredytu oraz dowody (wszystkie są w paczce z „tajnymi” dokumentami) na to, że warszawski dom, o który w tym postępowaniu chodziło, podczas Powstania Warszawskiego został zrównany z ziemią. Szykany polegały też na przyznaniu tak niskiej emerytury, że nie wystarczała na utrzymanie. W tej sprawie pomogli przyjaciele z poznańskiego Wydziału Lekarskiego, którzy „wygospodarowali” dla niego sekretny etat starszego asystenta, o którym nie wiedziało Ministerstwo Nauki. To również potwierdza paczka zastrzeżonych dokumentów. W sumie, zawiera ona ciekawe archiwalia, które jednak z dzisiejszej perspektywy statusu poufnych dokumentów by nie otrzymały.

Pamiętnik² Adama Wrzoska (1875-1965)

Memoirs by Adam Wrzosek (1875-1965)

Gdy wpatruję się myślą w minione lata, w dziwne koleje mego życia, jasno zdaje sobie sprawę, że jakaś niewidzialna siła prowadziła mnie to w jednym, to w drugim kierunku, tam nieraz dokąd iść wcale nie zamierzałem. Często nie przeczuwałem zgoła, że w bliższej lub dalszej przyszłości tak, a nie inaczej, postąpię. Ileż to razy Opatrzność najwyraźniej czuwała nade mną w chwilach stanowczych mego życia lub w czasie grożącego mi niebezpieczeństwa!

Wszystko, co mnie spotkało w życiu, dobre czy złe rzeczy, powodzenie czy niepowodzenie, pochwały czy nagany, uznanie czy oszczerstwa, wszystko obracało się w końcu na moje dobro, na poprawienie mego charakteru i na coraz większą równowagę psychiczną.

Życie przekonało mnie tysiące razy, że jestem istotą ułomną i nauczyło mnie być krytycznym względem siebie, a wyrozumiałym względem innych, boć i oni są ułomni i wydają się często mniej dobrymi, niż są w istocie. „Kto by ściśle i bezstronnie sądził o sobie samym, uznałby, że nie ma prawa sądzić surowo o drugich” („O naśladowaniu Jezusa Chrystusa”, II, 5.1).

Teraz, gdy dobiegam końca wędrówki ziemskiej, gdy ciało, wędrówką tą zmęczone i wyczerpane, coraz bardziej słabnie i, trapięne różnymi dolegliwościami, coraz więcej niedołącznieje, dusza moja odczuwa coraz mniej przywiązania do wszystkiego, co jest ziemskie, co z czasem przemija.

² Bardzo dziękuję Panu dr. Jarosławowi Matysiakowi, kierownikowi Oddziału Poznańskiego Archiwum PAN w Warszawie, za wyrażenie zgody na niniejszą edycję pamiętnika Adama Wrzoska.

Może to i dobre, że zabieram się do pisania pamiętnika w osiemdziesiątym roku życia, w tak późnym wieku, w którym żyję już więcej życiem duchowym niż materialnym.

Przeżywszy niemało lat i przyjrawszy się wielu rzeczom, patrzę na minioną młodość, która jest rzeźbiarką charakteru, z dalekiej perspektywy, w której giną drobne i nic prawie nie znaczące zdarzenia, a pozostają jeno ważniejsze. Z dalekiej perspektywy patrzę również na wiek dojrzały, w którym nabrawszy dużo doświadczenia, mogę teraz sprawiedliwiej osądzić siebie i innych.

Pisząc o sobie i ludziach, których znałem, pragnąłbym bardzo nie mówić zbyt wiele o sobie, nie usprawiedliwiać zbyt wiele popełnionych błędów, słowem, nie przedstawiać siebie lepszym, niż jestem nim w istocie, pomnąc na mądre słowa autora przemądrej książki „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa”: „Kto dobrze zna samego siebie, ten czuje całą nikczemność swoją, a nie kocha się w pochwałach ludzkich” (I, 2.1). A tych pochwał nasłuchałem się w życiu aż nazbyt wiele. Pamięć o nich może mi utrudniać bezstronne osądzanie siebie, a może i tych, którzy byli moimi przeciwnikami.

Nie po raz pierwszy zabieram się do pisania pamiętnika. W r. 1901 zacząłem zapisywać ważniejsze zdarzenia z mego życia na tle doli i niedoli naszego narodu. Do tego dziennika dołączałem różne dokumenty, jak np. ulotne pisma z czasów pierwszej wojny światowej. Prowadziłem go kilkadziesiąt lat. W czasie powstania warszawskiego uległ on doszczętnemu zniszczeniu. Nie mam już także materiałów, które ułatwiłyby mi walnie pisanie niniejszych wspomnień, takich materiałów, jak listy pisane do mnie w ciągu blisko 40 lat, różnych notatek i odpisów mnogich dokumentów z czasów mego urzędowania w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Wszystkie te rzeczy zabrali Niemcy w początkach drugiej wojny światowej z mego mieszkania w Poznaniu i z Zakładu Historii i Filozofii Medycyny Uniwersytetu Poznańskiego. Może je wywieźli z Poznania, a może zniszczyli. W każdym razie na ślad ich dotychczas nie natrafiłem.

Po wojnie trzykrotnie zacząłem pisać pamiętnik, lecz różne pilne prace naukowe oderwały mnie od tego po napisaniu zaledwie kilku kartek. Teraz, mając spokojniejsze życie, lubo jeszcze wielu niedokończonymi a dawniej zaczętymi pracami naukowymi zajęte, może uda mi się częściej brać pióro do ręki w celu spisania wspomnień. Czy wytrwam w zamierzonej pracy? Czy będzie mi dopisywała pamięć, która w moim wieku staje się coraz bardziej „dziurawa”?

Daj Boże, abym doprowadził do końca pamiętnik, który zaczynam i aby przyniósł on jakkolwiek pożytek przyszłym czytelnikom. Więc do dzieła w imię Boże!

Rozdział I

Rodzice i ich pochodzenie. Moje lata dziecięce przed rozpoczęciem nauki w gimnazjum piotrkowskim

Matka moja, Pelagia ze Skibińskich, pochodziła z rodziny mieszczańskiej. Ojciec jej, Antoni, urodzony w 1811 r., a zmarły 9 listopada 1883 r. na tyfus brzuszny, był urzędnikiem górniczym w Dąbrowie Górniczej, a później wójtem i podobno sędzią gminnym. Był to zacy, prawy człowiek. Snadź mu się nieźle powodziło, bo w 1876 r. wybudował w Zagórzcu piękny piętrowy dom wyłącznie dla swej rodziny. Obok domu znajdowały się zabudowania gospodarskie i duży paromorgowy ogród zasadzony pierwszorzędnymi drzewami owocowymi i posiadający dwa stawy i ładną murowaną łazienkę z basenem i natryskiem. Ogród ten założył i pieczołowicie pielęgnował mój dziadek, którego dobrze pamiętam, bo miałem już osiem lat, gdy zmarł. O przodkach jego nic nie wiem, bo znałem tylko jednego brata dziadka, mieszkającego w Dąbrowie Górniczej i zajmującego tam jakąś bardzo podrzędną posadę.

Babkę Agatę Skibińską pamiętam daleko lepiej aniżeli dziadka, gdyż znacznie dłużej od niego żyła. Urodzona w Czeladzi jako córka zamożnego dość kupca, Józefa Kapuścińskiego, posiadającego duży własny dom, a w nim skład win, zmarła w Zagórzcu 15 grudnia 1901 r., przeżywszy lat 84. Była najmłodszą z liczego rodzeństwa. Jeden z jej braci, Maciej, stał się protoplastą rodziny, która już w czterech pokoleniach wydała wybitnych lekarzy. Po ukończeniu liceum w Krakowie rozpoczął w r. 1829 studia w Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym w ówczesnej Rzeczypospolitej Krakowskiej, mającej urzędową nazwę Wolnego Miasta Krakowa i jego Okręgu. Brał udział w powstaniu listopadowym, po czym nie mógł już, zdaje się, studiować w Krakowie, gdyż rzeczywiście władcy miniaturowej Rzeczypospolitej Krakowskiej, rezydenci trzech zaborczych dworów, urzędujący w Krakowie, pilnie czuwali nad tym, aby niepożądani „obcokrajowcy” nie przebywali w nim. Obcokrajowcem zaś był każdy, kto nie był obywatelem Wolnego Miasta Krakowa i jego okręgu, a więc nie tylko mieszkaniec Czeladzi, położonej w Kongresówce, w powiecie będzińskim, należącej niegdyś do Księstwa Siewierskiego biskupów krakowskich, ale nawet mieszkaniec Podgórzca, leżącego po drugiej stronie Wisły, a będącego teraz jedną z dzielnic Krakowa; Wisła bowiem była granicą dzielącą Wolne Miasto Kraków i Galicję, należąca do Austrii.

Maciej Kapuściński, nie mogąc widocznie dalej studiować w Krakowie, zamieszkał na razie u stryja swego w Opolu, skąd udał się w 1832 r. na studia medyczne do Wrocławia, które skończył w 1837 r. ze stopniem doktorskim. Potem rozpoczął praktykę lekarską w Poznaniu. Za poradą Karola Marcinkowskiego, z którym się zaprzyjaźnił, przeniósł się do Środy i tam zasłynął jako biegły lekarz i społecznik. Zmarł na cholere w 1873 r., mając 62 lata. Syn jego Bolesław był wybitnym lekarzem poznańskim i również społecznikiem, wnuk Witold (1882-1951) znakomitym profesorem okulistyki w Uniwersytecie Poznańskim, a prawnuk Witold Juliusz, urodzony w 1910 r., jest profesorem okulistyki w Akademii Medycznej we Wrocławiu. Wszyscy ci Kapuścińscy

odznaczali się pięknymi charakterami, podobnie jak moja babka, która była niewiastą zącną, miłą, spokojną, szczęśliwą w zgodnym pożyciu małżeńskim.

Obecnie w Czeladzi, gnieździe rodzinnym Kapuścińskich, nie ma ich już. Rozproszyli się po świecie lub wymarli bezdzietnie. Jedyna pamiątka, jaka pozostała po rodzinie Kapuścińskich w Czeladzi, to ich grobowiec na starym cmentarzu z pomnikiem dotychczas istniejącym, wystawionym przez mego pradziada swej małżonce z napisem na żelaznej tablicy:

Tu spoczywa
Helena z Kręcisków
Kapuścińska
żyjąc lat wieku 73
w małżeństwie lat 55
Zmarła dnia 11 marca
1851
Mąż smutkiem dotknięty
Ślad pamięci składa
i o westchnienie
prosi
Józef Kapuściński

Ojciec mój pochodził z rodziny uboższej niż matka. Przodkowie moi ciężko pracowali na kawałek chleba. Mieszkali w zaścianku szlacheckim Wrzoski, wiosce oddalonej o 14 kilometrów od Węgrowa i byli szlachtą schłopiałą. Mieszkańcy tej wsi dotychczas uważają się za szlachtę. Ostatnim z przodków ojca, który do końca życia mieszkał we Wrzoskach, był jego dziadek Antoni Wrzosek, urodzony w 1760 r., ożeniony z Marianą Balicką. Był on rolnikiem, posiadał część Wrzosków. Wykształconym nie był, a nawet czytać i pisać nie umiał. Syn jego, a mój dziadek, Kajetan (6 VIII 1814 – 17 IX 1881), urodzony we Wrzoskach, opuścił rodzinną wioskę i przeniósł się do Węgrowa, gdzie jako dwadzieścia jeden i pół lat mający młodzieniec ożenił się z Urszulą Rychlikówną, blisko o dwa lata od siebie starszą. Miał z nią sześciu synów, z których ojciec mój Józef (21 III 1847 – 30 V 1923) był czwartym z kolei. Po śmierci żony, która zmarła w miesiąc i trzy dni po urodzeniu szóstego dziecka, ożenił się z szesnastoletnią Konstancją Grzymałówną. Potem jeszcze cztery razy owdowiał. Piątą żonę przeżył kilka lat. Nie dziw, że z tylu małżeństw miał dzieci znacznie różniące się wiekiem. Jeden z moich przyrodnych stryjów był tylko o cztery lata ode mnie starszy, a umarł, gdy miałem już 70 lat. W czasie okupacji niemieckiej poznałem w Warszawie dwudziestokilkuletniego studenta prawa, pochodzącego z Węgrowa, z którym, mimo wielkiej różnicy wieku, miałem wspólnego dziadka.

Czym się trudnił dziadek, nie wiem. Był prawdopodobnie rolnikiem, bo pozostawił po sobie rolę i dom w Węgrowie, które są dotychczas w posiadaniu jego prawnuczek.

Gdy umarła moja babka Wrzoskowa, ojciec mój miał zaledwie sześć lat. Szesnastoletnia jego macocha, z którą dziadek ożenił się w półtora miesiąca po śmierci pierwszej żony, nie mogła się zająć wychowaniem pasierbów, z których dwaj najstarsi byli zaled-

wie o kilka lat młodszymi od niej, a najmłodszy miał półtrzecia miesiąca, gdyż matka odumarała go, gdy miał 41 dni.

Wychowaniem ojca mego i jednego ze starszych jego braci zajął się zacny wuj ich, ks. Józef Rychlik, dziekan garwoliński, kanonik podlaski i proboszcz w Osieku. Odtąd ojciec nie stykał się ze swoją najbliższą rodziną, nie znał prawie swego ojca, a wcale nie znał swoich przyrodnych braci i przyrodniej siostry, bo tylko miał jedną.

Ojciec kształcił się w gimnazjum w Siedlcach, w którym był uczniem celującym, jak świadczyła jego nagroda, którą w bibliotece ojca widziałem. Była to pięknie oprawna w kolorze czerwonym popularna historia Polski przez Lelewela napisana. Na karcie poprzedzającej tytułową wpisana była pochwała podpisana przez nauczycieli.

W tym czasie, w którym ojciec uczył się w Gimnazjum Siedleckim, uczęszczali do niego znani później literaci Klemens Szaniawski (pseudonim Junosza) i Adam Szymański. Wśród kolegów ojca byli nie tylko jego rówieśnicy w niższych klasach, ale i młodzieńcy „pod wąsem”, bo wtedy nie ograniczano wieku dla wstępujących do gimnazjum. Nauka w gimnazjum, zwłaszcza po reformie Wielopolskiego, stała wysoko. Zwracano dużą uwagę na języki: obok łaciny i greki szczególnie na język ojczysty. Przeglądając obszerny zeszyt ojca, zdaje się z ostatniej klasy, zawierający między innymi rzeczami notatki z wykładów literatury polskiej, uderzony byłem wysokim poziomem tych wykładów, nie różniącym się od uniwersyteckiego.

Gdy wybuchło powstanie styczniowe, ojciec miał 15 lat i 10 miesięcy i wtedy, zdaje się, był w klasie czwartej. Wbrew zakazowi swego opiekuna, ks. Rychlika, poszedł „do lasu”, pragnąc walczyć o wyzwolenie ojczyzny. Zgłosił się do oddziału Kurowskiego. Gdy dowódca go zobaczył, powiedział: „co ja z tobą, dziecko, będę robił?” Snadź na gorące prośby „dziecka” przyjął je do oddziału swego. W czasie jednej z potyczek ojciec był ranny w prawe ramię, wskutek czego pozostał mu na całe życie lekki niedowład prawej ręki. Po wyleczeniu się z rany wrócił do gimnazjum, zataiwszy przed władzą szkolną swój udział w powstaniu. Koledzy jednak o tym wiedzieli, a pewnie niektórzy nauczyciele domyślali się tego. Wiadomo było, że rząd rosyjski, tłumiąc bezwzględnie powstanie, wychwytywał i aresztował zarówno powstańców, jak i byłych powstańców. Wielu jednak z nich nie dostało się, na szczęście, do rąk siepaczy carskich. Znane było szlachetne postępowanie rektora Szkoły Głównej Warszawskiej Józefa Mianowskiego, który przyjmował z powrotem do tej uczelni powracających z powstania studentów, po rozbiciu oddziałów, w których walczyli, udając, że nic nie wie o ich udziale w powstaniu.

Udział ojca w powstaniu nie pociągnął dlań złych skutków w szkole, przynajmniej na razie. Gdy dobiegał końca nauki gimnazjalnej i miał składać egzamin dojrzałości, uprawniający do studiów w Szkole Głównej Warszawskiej, jeden z kolegów, syn słuźbisty dyrektora czy inspektora gimnazjum, Polak, zadenuncjował ojca, donosząc, że był powstańcem, wobec tego został on natychmiast z gimnazjum wydalony. Odtąd życie ojca potoczyło się różnymi kolejami. Pojechał do Warszawy i tam jako praktykant wstąpił do warsztatu ślusarskiego. Potem, nie chcąc służyć w wojsku rosyjskim, udał się do Zagłębia Dąbrowskiego, aby pracować w górnictwie, co podobno uwalniało od służby wojskowej. W jakim charakterze pracował z początku, czy jako górnik, czy jako ślusarz, czy też jakie inne stanowisko zajmował, nie wiem.



Adam Wrzosek (siedzi drugi z lewej), lekarz Szpitala Garnizonowego w Krakowie, z personelem w 1915 r.
(Archiwum PAN w Warszawie, Oddział w Poznaniu, sygn. P III-70)

W r. 1871, gdy miał 24 lata, ożenił się. Zamieszkał z żoną, o pięć lat od siebie młodszą, w Dąbrowie Górniczej w kolonii zwanej Paryż. Oboje rodzice moi zaczęli nowe życie, mając wspólnie całego majątku 10 rubli. W r. 1872 urodził się im syn Stanisław, po czym wkrótce rodzice zamieszkali w Strzemierzycach w prostej chałupie, bodaj pod strzechą.

Ojciec pełen inicjatywy, przedsiębiorczy, zajął się poszukiwaniem pokładów węgla, znalazłszy wspólnika z małym kapitałem, który umożliwił nabycie najniezbędniejszych narzędzi, potrzebnych do robót wiertniczych. Pamiętam z czasów mego wczesnego dzieciństwa poszukiwania ojca w szczerym polu w różnych okolicach Zagłębia Dąbrowskiego, przy pomocy bardzo małej liczby robotników. Poznawszy praktycznie geologię Zagłębia, szybko orientował się w czasie robót wiertniczych, czy jest w trakcie odkrycia pokładu węgla. Nie tylko dzięki zdolnościom, ale i szczęściu, odkrywał jedno po drugim pokłady węgla, co stało się początkiem jego fortuny.

Dorobiwszy się w krótkim czasie dość znacznego majątku, przeznaczył go na założenie do spółki ze Ślązakiem Pawłem Skrzypcem gazowni w Tarnowie. Było to przed-

sięwzięcie dość ryzykowne dla ojca, bo sam nie mógł przenieść się do Tarnowa, w którym zamieszkał tylko Skrzypiec. Czerpał on całe dochody z gazowni, które zapewne były nieduże i wystarczały zapewne dla Skrzypca jako kierownika gazowni. Miasto Tarnów dało koncesję ojcu i Skrzypcowi na wybudowanie gazowni pod warunkiem, że po 50 latach przejdzie ona na własność miasta. Co skłoniło ojca do założenia gazowni w Tarnowie, nie wiem. Może zapalił się do tego, jako do czegoś jeszcze w Polsce nie rozpowszechnionego, bo wówczas oświetlano ulice i mieszkania prawie wyłącznie naftą. Widocznie w czasie, w którym zakładał gazownię, tj. około 1875-1880 roku, uważał oświetlenie gazowe za wielki postęp. Sam pamiętał jeszcze dobrze swoje czasy gimnazjalne, w których nie znano jeszcze lampy naftowej, będącej późniejszym dopiero wynalazkiem Łukasiewicza. Pamiętał, ile to było kłopotu z oświetlaniem pokoju uczniowskiego świecami, zwykle łójówkami, bo lampy olejne były, zdaje się, rzadkością. Spodziewał się zapewne, że liczni mieszkańcy Tarnowa skorzystają z oświetlenia gazowego i zaniechają naftowego. Tak się widocznie nie stało, prawdopodobnie dlatego, że instalacja światła gazowego wymagała wyłożenia pewnej gotówki i że coraz bardziej udoskonalone lampy naftowe dawały wcale niezłe oświetlenie. Gazownia nie dawała spodziewanych dochodów i ojciec wyszedł na razie na tym przedsiębiorstwie jak przysłowiowy Zabłocki na mydle.

Włożywszy niefortunnie cały kapitał, jakiego się dorobił, w gazownię, nie zraził się tym niepowodzeniem. Nie opuścił rąk i z dawną energią zabrał się do poszukiwania pokładów węgla. Nie posiadał już potrzebnego kapitału na prowadzenie robót wiertniczych, lecz widocznie uchodził za dobrego fachowca, bo zawiązał z nim spółkę Francuz, baron Harlingh, wysoki urzędnik Huty Bankowej w Dąbrowie Górniczej. On w znacznej mierze dawał pieniądze, a ojciec przede wszystkim swoją pracę i swoje duże już doświadczenie. I w tej spółce górniczej miał ojciec powodzenie, choć nie takie jak dawniej. Zarobionych pieniędzy nie składał do banku, lecz wkładał je w różne przedsiębiorstwa. Gotówki odłożonej nie miał i nie przywiązywał do niej większej wagi. Pamiętam zmartwienie matki, gdy miałem kilka lat, z powodu niespodziewanego przyjazdu komornika i zajęcia mebli w czasie nieobecności ojca. Okazało się, że ojciec żyrował jednemu ze znajomych weksel, a ten go w terminie nie wykupił. Z chwilowego kłopotu wybawił ojca jeden z Żydów w Zagórze zamieszkałych, który sam zaofiarował się pożyczyć potrzebną na spłacenie weksla sumę. Wtedy rodzice już mieszkali w domu dziadka w Zagórze, dokąd się sprowadzili ze Strzemierzyc, krótko po wybudowaniu domu.

Ojciec jako człowiek wykształcony, cieszący się powszechnym zaufaniem, wybierany był niejednokrotnie na urzędy samorządowe: sędziego gminnego i wójta gminy. Na pierwsze z tych stanowisk nie został zatwierdzony przez władze rosyjskie, natomiast tylko na drugie. Stanowisko wójta gminy górniczej było wyższe niż niejednego burmistrza małego miasta. Gmina ta obejmowała znaczną część Zagłębia Dąbrowskiego, była ludną i obszerną. Zarząd gminy, w którym pracowało kilkunastu urzędników, znajdował się w Dąbrowie Górniczej, do której ojciec dojeżdżał z Zagórze, mając własne konie. Urząd wójta był odpowiedzialny w dużym stopniu, a nieraz przykry wskutek zależności od naczelnika powiatu, którym mógł być tylko Rosjanin. Urząd ten stał się bardzo niemiłym, a nawet czasem nieznośnym, gdy Polska Partia Socjalistyczna

rozpoczęła swą działalność w Zagłębiu Dąbrowskim, wywołując strajki na kopalniach i w fabrykach. Rząd zwalczał je drakońsko. Do zwalczania strajkujących rząd używał kozaków, których koszary znajdowały się w powiatowym mieście Będzinie. Starano się zmuszać wójta, aby jako władza miejscowa był obecny przy tłumieniu strajków.

Ojciec, po latach urzędowania, rzekł się tego stanowiska. Prawdopodobnie nie znalazł się żaden inteligent, który chciałby w tych zmienionych warunkach kandydować na urząd wójta. Wobec tego na następcę ojca został wybrany i przez władze zatwierdzony człowiek bez wykształcenia, nieodpowiedni całkiem do zarządzania gminą, w której znajdowały się kopalnie węgla, huty i różne fabryki.

Miał jednak wójt jedno ważne uprawnienie, dzięki któremu mógł wyświadczyć ważną przysługę różnym ludziom. W całym państwie rosyjskim, a więc i w Kongresówce, w czasie niewoli nie wolno było wyjeżdżać za granicę bez specjalnego paszportu wydawanego przez gubernatora. Trzeba było składać w celu uzyskania paszportu zagranicznego podanie aż w urzędzie gubernialnym. Następnie trzeba było czekać na decyzję, która mogła być odmowna. Natomiast wójt gminy górniczej, jako leżącej przy granicy państwa, miał prawo wydawać stałym mieszkańcom gminy przepustki na przejazd zagranicę, ważne na kilka dni. Ojciec z tego prawa korzystał, wydając przepustki także osobom nieupoważnionym, którym, jako zamieszkałym w miejscowościach oddalonych od granicy państwa, wolno było wyjeżdżać zagranicę tylko za paszportem, przy czym odmawiano stałe paszportów osobom, o których żandarmeria wydała opinię, że są „niebłagonadiożni”, tzn. nieprawomyślni. Ojciec nie bał się wydawania przepustek osobom nieupoważnionym, wypisując na przepustce nazwisko jakiejś osoby, stale zamieszkałej w gminie, której ani się śniło kiedykolwiek wyjeżdżać za granicę. Rysopis jednak na przepustce był osoby, której przepustkę wydano. Za przepustką można było przejeżdżać przez granicę w Modrzejowie do Mysłowic, przez granicę w Sosnowcu do Katowic i przez komorę graniczną w Granicy-Maczkach do Szczakowy. Naturalnie, po przejeździe granicy można było jechać nie tylko do Mysłowic, Katowic i Szczakowy, ale i dalej, np. do Krakowa lub Wrocławia.

Pamiętam, jak około 1896 r. przyjechała do naszego domu w Zagórze pani Oktawia Żeromska, żona Stefana Żeromskiego, prosząc ojca o wydanie jej przepustki. Skierował ją do rodziców mój starszy brat Stanisław, wówczas student Politechniki Zurzyckiej, który zaprzyjaźnił się z Żeromskimi, gdy mieszkali w Rapperswilu, gdzie Żeromski był bibliotekarzem w Muzeum Narodowym. Ojciec, oczywiście, przepustki p. Żeromskiej nie odmówił.

Wydawanie takich przepustek było rzeczą niebezpieczną, bo gdyby się mistyfikację wykryło, odpowiedzialność spadłaby na ojca. Raz nawet mało brakowało do tego, aby fałszywa przepustka wpadła w ręce żandarmów. Otóż właściciel majątku ziemskiego w okolicach Zgierza, Kołaczkowski, przyjechał do ojca polecony przez znajomych, prosząc o przepustkę, gdyż chciał pojechać do Krakowa. Ojciec wydał mu przepustkę na nazwisko Krawczyka. Gdy się przejeżdżało przez Granicę (Maczki) lub Sosnowiec, oddawało się na stacji żandarmerii przepustki i paszporty. Oni je w swojej kancelarii stemplowali, a potem, gdy już wszyscy podróżni byli w wagonach, żandarmi podchodzili do pociągu, pytali każdego podróżnego o nazwisko i wręczali mu paszport lub przepustkę. Jeżeli ktoś wzbudzał podejrzenie, na miejscu sprawdzano

jego rysopis. Kołaczkowski pamiętał, że dla żandarmów nazywa się Krawczyk, więc przejazd jego do Krakowa odbył się bez przeszkód. Po kilkudniowym pobycie w Krakowie wracał do domu. Żandarmi odbierali od podróżnych paszporty i przepustki zanim wysiedli z wagonu, po czym powracający z zagranicy podróżni przechodzili do dużej sali, w której odbywała się szczegółowa rewizja ich rzeczy. Niektórych podróżnych brano z sali rewizyjnej, według widzimisię urzędników celnych, do sąsiedniego pokoju w celu rewizji osobistej. Po skończonej rewizji przychodzili żandarmi, wywoływali podróżnych po nazwisku, wręczali im dowód podróży i dopiero wówczas wolno było opuścić salę rewizyjną, przy wyjściu z której sprawdzano, czy każdy ma paszport lub przepustkę. Kołaczkowski, wracając z Krakowa, nie zaglądał do przepustki. Dopiero po oddaniu jej żandarmom do ostemplowania, gdy znalazł się już w sali rewizyjnej, zaczął przypominać sobie pod jakim nazwiskiem podróżuje. Zdawało mu się, że ma na przepustce wypisane nazwisko Szewczyk. Gdy żandarmi w czasie zwrotu dokumentów podróży głośno wywoływali nazwiska kilkudziesięciu osób zgromadzonych w sali rewizyjnej, Kołaczkowski nie mógł się doczekać wywołania Szewczyka, natomiast padło nazwisko Krawczyka. Gdy nikt się po przepustkę Krawczyka nie zgłosił, żandarm powtórnie zawołał gromko: Krawczyk. Znów nikt się nie zgłasza. Wtedy Kołaczkowskiemu jak błyskawica przemknęła myśl, że to właśnie jego wywołują, skoro nikt przepustki nie odbiera. Podszedł więc czem prędzej do żandarma po odbiór przepustki. Mało brakowało, aby się żandarmi przekonali, a raczej domyślili, że przyłapali podróżnego z fałszywą przepustką.

Przy przejeździe nielegalnym rosyjsko-austriackiej czy austriacko-rosyjskiej granicy korzystano nie tylko z fałszywych przepustek wydawanych przez gminę górniczą, lecz również z paszportów austriackich, które np. w Krakowie wydawała dyrekcja policji. Niejeden z emigrantów politycznych z zaboru rosyjskiego, przebywający w Galicji, jeździł do Kongresówki za paszportem austriackim, otrzymanym od osoby, której życiorys zgadzał się mniej więcej z jego.

Opowiadano mi następujące zdarzenie. Pewien lekarz, zdaje się z Krakowa, dał swój paszport znajomemu, poddanemu rosyjskiemu przebywającemu w zaborze austriackim, który wybierał się do Kongresówki. W paszporcie wyraźnie było zaznaczone, że jego posiadacz jest doktorem medycyny. W czasie, w którym pociąg z Krakowa przybył na stację graniczną rosyjską, odbywał się w gmachu urzędu celnego, w którym były mieszkania urzędników celnych, ciężki poród żony jednego z nich. Lekarza na miejscu nie było. Żandarmi kontrolując paszporty zauważyli, że wśród przyjezdnych jest doktor medycyny. Gdy się o tym dowiedział urzędnik, którego żona odbywała poród, uprosił żandarmów, aby pozwolili mu wezwać tego lekarza do pomocy przy porodzie. Niebawem odszukano w sali rewizyjnej „pana doktora” i zaproszono do porodu. Chcąc nie chcąc musiał uczynić zadość tej prośbie, gdyż w przeciwnym razie mógłby wzbudzić podejrzenie, że jedzie z fałszywym paszportem. Był więc obecny przy porodzie, który prowadziła położna. Widząc, że pan doktor do porodu wcale się nie wtrąca, nabrała przekonania, że poród odbywa się normalnie acz z trudnością, więc spokojnie prowadziła go dalej. Poród odbył się szczęśliwie, a rola pana doktora polegała tylko na tym, że się przyglądał porodowi. Zadowolony, że się wszystko pomyślnie odbyło, otrzymał honorarium i pojechał dalej, wzbogacony o nowe niezwy-



Adam Wrzosek (stoi drugi z prawej), lekarz Szpitala Garnizonowego w Krakowie, z pacjentem i personelem w 1915 r.
(Archiwum PAN w Warszawie, Oddział w Poznaniu, sygn. P III-70)

kle doświadczenie życiowe. Zapytany o wysokość honorarium podał bardzo niskie, uwzględniając bynajmniej nieświetne położenie materialne urzędnika celnego. Obie strony rozstały się bardzo zadowolone: pan doktor ze szczęśliwego wyjścia z opałów, a urzędnik z bezinteresowności lekarza, który zażądał tak niskiego honorarium, że mogło się wydawać symbolicznym.

Wracam do przerwanych wspomnień o ojcu. Wielce przedsiębiorczy, nie mógł się ograniczyć do pełnienia urzędu wójta, choć mu to dużo czasu zabierało. Jeden z własnych budynków gospodarskich przerobił na fabrykę żelaznych gwoździków do przybijania podeszew. Gdy przedsiębiorstwo to okazało się zawodne, przebudował budynek fabryczny na dużą piekarnię, zatrudniająca kilkunastu piekarzy pod kierunkiem fachowca inteligenta. Wypiekano duże okrągłe bochenki żytniego chleba, które kilka par własnych koni rozwoziło do składnic w sąsiednich kopalniach węgla, z których otrzymywali je codziennie górnicy na rachunek swoich zarobków.

Po śmierci matki mojej w 1904 r. ojciec nie wykazywał już takiej energii jak przedtem. Mimo, że pozbył się już wójtostwa wcześniej, z czego się cieszyłem, bo była to śliska droga, na której łatwo było się potknąć moralnie, mimo, że miał więcej wolnego czasu coraz mniej zajmował się interesami przemysłowymi. Zwinął piekarnię i tylko

jeszcze przez pewien czas prowadził kopalnię węgla w Łagiszy, którą dzierżawił z jednym współnikiem. Pozbywszy się tej dzierżawy, prowadził życie prawie beczynne. Przyzwyczajony do życia pełnego inicjatywy, przykro odczuwał tę beczynność. Choć w następnym roku po śmierci matki zamieszkał w domu rodzinnym wraz z żoną i dziećmi brat mój Stanisław, który już dawno sprzedał oddaną mu przez ojca połowę gazowni tarnowskiej i ostatnio mieszkał w Częstochowie, ojciec czuł się coraz bardziej osamotniony. Przyjaciele i znajomi z dawnych lat wymierali. Wreszcie i sam rozstał się z tym światem 30 maja 1923 r., przeżywszy 76 lat. Umarł nagle na dusznicę bolesną.

Z niczego dorobił się pracą własną i przedsiębiorczością majątku, który znacznie się uszczuplił, gdy ojciec w początkach bieżącego wieku wszedł w spółkę z jednym przemysłowcem i włożył w jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe w Starachowicach 40 tysięcy rubli, które stracił zupełnie. Podziwiałem spokój ojca, wprost beztrzęsą, z jaką zniósł tę stratę znacznej części majątku. Całe niemal mienie swoje rozdał za życia swoim dzieciom: dwóm synom i córce, prócz domu w Zagórzcu i domu w Dąbrowie Górniczej, w którym mieszkali robotnicy, i wartościowego placu tamże, który ofiarował pod budowę szkoły. Połowę gazowni w Tarnowie oddał on już dawno najstarszemu synowi, skoro tylko ukończył on Wydział Chemiczny Politechniki w Zurychu. Po śmierci ojca zrzekłem się części spadku na mnie przypadającej. Dom w Zagórzcu przeszedł na własność brata, a dom w Dąbrowie Górniczej odziedziczyła siostra. Obecnie z własności, które posiadał ojciec w Zagórzcu, w Tarnowie i w Dąbrowie Górniczej i z terenów węglowych, które miał w Zagłębiu Dąbrowskim nie pozostało już nic w rękach jego spadkobierców i ich rodzin.

Ojciec dbał wielce o to, aby dzieciom umożliwić jak najlepsze wykształcenie. Był dla nich bezgranicznie dobry i nigdy żadnego dziecka nie ukarał. Zresztą ojciec dużo przebywając poza domem, wychowanie dzieci pozostawił matce. W ogóle w domu naszym o karach cielesnych nie było mowy.

O niezwyklej wyrozumiałości ojca dla dzieci świadczy m.in. następujące zdarzenie. Raz, gdy byłem w zarządzie gminy górniczej, w którym była kasa, ojciec otworzył dużą, mocno okutą skrzynię, będącą właśnie kasą gminy, i poprosił mnie, abym trzymał ciężkie wieko skrzyni, a sam mocno się schylił, wyjmując pieniądze. Przez nieuwagę wypuściłem z rąk wieko, które spadło na łusą głowę ojca i mogło go o śmierć przyprowadzić. Byłem wtedy uczniem gimnazjalnym. Nie potrzebuję chyba opisywać mego przerażenia. Na szczęście ojcu nic się poważnego nie stało. Nie tylko nie oburzył się on na moją nieuwagę, ale nie okazał nawet najmniejszego zniecierpliwienia i ani słówkiem nie zganił mnie. Przez całe życie miałem jak najlepsze stosunki z ojcem i nigdy nie zaszło między choćby najmniejsze nieporozumienie. Dodam, że ojciec się bardzo cieszył z mego powodzenia na polu naukowym.

Z rodziny ojca poznałem tylko starszego brata jego Jana i dobroczyńcę ojca wuja jego czcigodnego ks. kanonika Józefa Rychlika.

Matka moja, lubo obdarzona wrodzoną inteligencją, miała tylko początkowe wykształcenie, bo rodzice jej, dbający o to, aby dać synom wykształcenie, na jakie ich tylko było stać w Dąbrowie Górniczej, gdzie wówczas mieszkali, uważali, zgodnie z powszechnym wtedy zapytywaniem, że dziewczętom z ich sfery wystarczy, gdy się nauczą czytać, pisać i rachować. Powinno im to wystarczyć jako przyszłym zo-

nom i matkom. W myśl tej zasady nauczanie mojej matki ograniczyło się do bardzo skromnych rozmiarów. Więc nauczono ją tylko czytać, rachować i pisać, niezupełnie zresztą ortograficznie, choć była ukochaną jedynaczką rodziców. Sama jednak chciała się kształcić. Słyszając, że w niedalekich Mysłowicach na Górnym Śląsku są zakonnice, które zajmują się wychowaniem i kształceniem dziewcząt, opuściła potajemnie, mając, zdaje się, około dziesięciu lat, dom rodzicielski i udała się piechotą do Mysłowic. Ktoś jej pomógł przejść przez granicę i dostać się do upragnionych zakonnicy. Zaniepokojeni rodzice zaczęli szukać dziecka, a dowiedziawszy się zapewne od sąsiadów, że chciało ono pobierać naukę w Mysłowicach, udali się tam i rzeczywiście znaleźli u zakonnicy ukochaną córeczkę. Zgodziliby się niezawodnie, aby kształciła się tam, gdyby ich stać było na to. Nie mieli jednak środków, aby płacić za utrzymanie dziecka. Zabrali więc je do domu, gdzie pomagała w gospodarstwie matce, aż do wyjścia za mąż w 1871 r., mając lat 19, urodziła się bowiem 18 grudnia 1851 r. Zawsze jednak odczuwała brak wykształcenia. Gdy byłem w trzeciej czy czwartej, a może piątej, klasie gimnazjum w Piotrkowie i przyjechałem na wakacje letnie do domu, poprosiła mnie matka, abym dawał jej lekcje ortograficznego pisania, na co oczywiście zgodziłem się z największą ochotą. Była to pierwsza moja uczennica spośród tysięcy późniejszych uczniów i uczennicy, pierwsza i najdroższa.

Jako matka oddana była całą duszą swoim dzieciom. Najstarszym był syn Stanisław, urodzony 30 marca 1872 r. w Dąbrowie, drugim dzieckiem byłem ja, trzecim córka Helena, urodzona 2 marca 1880 r. w Zagórzcu, czwartym syn Tadeusz, urodzony 4 maja 1892 r. również w Zagórzcu. Tam też urodziłem się 6 maja 1875 r., gdy matka moja przyjechała ze Strzemierzyc, gdzie rodzice mieszkali, do Zagórzca, aby w lepszych warunkach w mieszkaniu swoich rodziców obyć poród. Matka nasza była czułą wychowawczynią swoich dzieci i znakomitą gospodynią. Ojciec zarabiał dużo, ale mało dbał o pieniądze, natomiast matka miała dar oszczędzania grosza i dzięki niej majątek rodziców wzrastał tak, że stać ich było na kosztowne kształcenie dzieci i na prowadzenie dostatniego domu, który matka przyozdabiała, to pięknymi tapetami, to ładną posadzką położoną na dotychczasową zwykłą podłogę, to zamieniając zwykłe piece kaflowe na ozdobniejsze.

Matka wszystkie dzieci otaczała gorącą miłością, a szczególnie najmłodszego Tadeusza, który przyszedł na świat, gdy matka miała ponad 40 lat.

Od urodzenia byłem dzieckiem wątłym. Z tego powodu matka karmiła mnie pierśmi przez dwa lata. We wczesnym dzieciństwie chorowałem na krup. Było ze mną tak źle, iż w pewnej chwili uważano, że już skończyłem. Mając około sześciu lat zacząłem pobierać naukę, którą rychło musiałem przerwać z powodu zimnicy, która mnie trapiła przez kilka lat. Męczył mnie równocześnie wyprysk (egzema). Wskutek tych chorób byłem do dziewiątego roku życia włącznie analfabeta.